



JENNIFER NIVEN

Wszystkie
jasne
miejsca

BUKOWY LAS



Finch

Znów jestem obudzony. Dzień 6

Czy to dobry dzień, by umrzeć?

Zadaję sobie to pytanie rano, kiedy wstaję z łóżka. Na trzeciej lekcji, gdy walczę z opadającymi powiekami podczas monotonnego wykładu pana Shroedera. Przy kolacji, podając fasolkę szparagową. W nocy, kiedy leżę bezsen- nie, ponieważ mój umysł nie chce się wyłączyć, bo tyle mam do myślenia.

Czy dzisiaj jest ten dzień?

A jeśli nie – to kiedy?

Zadaję sobie to pytanie także i teraz, stojąc na wąskiej półce sześć pięter nad ziemią. Znajduję się tak wysoko, że praktycznie stanowią część nieba. Patrzą na znajdujący się w dole chodnik, a wtedy świat się przechyla. Zamykam oczy, podoba mi się, jak wszystko zaczyna wirować. Może tym razem to zrobię – dam się ponieść powietrzu. To będzie jak unoszenie się na wodzie w basenie, pływanie tak długo, aż ogarnie mnie nicość.

Nie pamiętam samego wchodzenia na wieżę. Ba, nie pamiętam zbyt wiele sprzed ostatniej niedzieli, nie wspominając już o zimie. To mi się ciągle zdarza – okresy zupełnej pustki, a potem obudzenie. Jestem jak ten brodaty starzec, Rip Van Winkle. Raz widzialny, raz

nie. Można by pomyśleć, że już do tego przywykłem, ale ostatnio było jak dotąd najgorzej, ponieważ przespałem nie kilka dni, tydzień czy nawet dwa, ale wszystkie święta, czyli Dziękczynienie, Boże Narodzenie i Nowy Rok. Nie potrafię dokładnie określić tej różnicy, wiem tylko, że gdy się obudziłem, czułem się bardziej martwy niż zwykle. Rozbudzony, owszem, ale zupełnie pusty, jakby w tym czasie ktoś żywił się moją krwią. Dzisiaj mija szósty dzień obudzenia, to mój pierwszy tydzień w szkole od 14 listopada.

Otwieram oczy, ziemia nadal jest na swoim miejscu, twarda i niezmienna. Znajduję się na dzwonnicy szkoły średniej, stoję na gzymsie o szerokości może dziesięciu centymetrów. Sama wieża jest dość mała, zaledwie metr przestrzeni wokół dzwonu plus niska kamienna balustrada, nad którą musiałem przejść, żeby tu stanąć. Co jakiś czas uderzam w nią nogą, by się upewnić, że nadal tu jest.

Rozpościeram ramiona, jakbym wygłaszał kazanie, a to całe niewielkie i tak okropnie nudne miasto było zgrupowaniem moich parafian.

– Panie i panowie! – krzyczę. – Zapraszam was serdecznie na moją śmierć! – Być może powinienem był powiedzieć „na moje życie”, skoro właśnie się obudziłem i w ogóle, ale gdy się budzę, zaraz rozmyślam o umieraniu.

Wykrzykuję swoje przemyślenia na modłę dawnego kaznodziei, potrząsając głową, zawieszając gwałtownie końcówki wyrazów, aż niemal tracę równowagę. Chwytam się balustrady. Dobrze, że nikt tego nie widzi. Bo powiedzmy sobie szczerze, trudno jest wyglądać na nieustraszonego, kiedy człowiek trzyma się kurczowo poręczy niczym zupełny tchórz.

– Ja, Theodore Finch, pozostając nie w pełni władz umysłowych, przekazuję niniejszym wszystkie moje doczesne dobra Charliemu Donahue, Brendzie Shank-Kravitz oraz moim siostram. Wszyscy pozostali mogą się p _ _ _ rzyć. – Mama uczyła nas, żeby zawsze literować brzydkie słowa (jeśli ich użycie jest naprawdę konieczne), a najlepiej w ogóle ich nie stosować. Ze smutkiem stwierdzam, że wpoila mi tę zasadę na amen.

Chociaż był już dzwonek, niektórzy ludzie z mojej klasy nadal kręcą się po boisku. To pierwszy tydzień drugiego semestru ostatniej klasy, a oni zachowują się tak, jakby już skończyli szkołę. Któryś podnosi głowę i patrzy w moją stronę, jakby mnie słyszał, ale pozostali nie reagują. Albo mnie nie zauważyli, albo wiedzą, że stoję na wieży i „No dobra, przecież to tylko ten wariat Finch”.

A potem odwracają wzrok i pokazują do góry. Początkowo myślę, że na mnie, ale w tej samej chwili dostrzegam ją. Dziewczyne. Stoi po drugiej stronie wieży, też na gzymsie, jej ciemnoblonde włosy powiewają na wietrze, a spódniczka pęcznieje niczym spadochron. I chociaż w Indianie mamy styczeń, jest tylko w rajstopach, buty trzyma w ręku i wpatruje się albo we własne stopy, albo w ziemię – trudno powiedzieć. Sprawia wrażenie, jakby wrosła w podłoże.

Odzywam się swoim zwykłym, niekaszczym głosem, najspokojniej, jak potrafię:

– Uwierz mi, najgorsze, co możesz zrobić, to spojrzeć w dół.

Odwraca bardzo powoli głowę w moim kierunku. Znam tę dziewczynę, a przynajmniej widywałem ją na szkolnym korytarzu.

– Często tu bywasz? – Nie mogę się powstrzymać. – Bo to w sumie moje ulubione miejsce, a wcześniej cię tu nie spotkałem.

Nie śmieje się, nie mruga nawet, tylko patrzy na mnie zza ogromnych okularów, które zakrywają prawie całą jej twarz. Chce zrobić krok do tyłu, ale uderza stopą w balustradę. Chwieje się, lecz zanim wpadnie w panikę, przemawiam do niej:

– Nie wiem, co cię tu sprowadza. Jeśli chodzi o mnie, to miasto z góry lepiej się prezentuje, ludzie wydają się ładniejsi, a najgorsi wyglądają niemalże na dobrych. Nie licząc Gabe’a Romero, Amandy Monk i całej tej ekipy, z którą się zadajesz.

Ma na imię Violet. Violet Jakaśtam. Cieszy się wielką popularnością, to jedna z tych dziewczyn, których nie spodziewałbyś się spotkać na wąskim gzymsie sześć pięter nad ziemią. Pod tymi paskudnymi okularami kryje się ładna buzia, przypominająca trochę porcelanową lalkę. Wielkie oczy, twarz w kształcie serca, usta, które tylko czekają, by wygiąć się w słodkim uśmiechu. To dziewczyna, która chodzi z facetami pokroju Ryana Crossa, szkolnej gwiazdy baseballu, a w stołówce siedzi z Amandą Monk i innymi królowymi balu.

– Ale bądźmy szczerzy, nie weszliśmy tu, żeby podziwiać widoki. Jesteś Violet, prawda?

Mruga raz, co biorę za odpowiedź twierdzącą.

– Theodore Finch – przedstawiam się. – Chyba w zeszłym roku chodziliśmy razem na matkę.

Znowu mrugnięcie.

– Nienawidzę matematyki, jednak nie dlatego tu jestem. Nie mam żalu, jeśli to właśnie twój powód. Jesteś pewnie

lepszą ode mnie z matki, bo praktycznie o każdym można to powiedzieć, ale w porządku, nie rusza mnie to. Wybijam się w innych, ważniejszych dziedzinach, między innymi w grze na gitarze, seksie oraz nieustannym rozczarowywaniu ojca. A tak na marginesie, to prawda, że nigdy nie wykorzystasz jej w prawdziwym życiu. Mówię o matce.

Cały czas nawijam, powoli jednak tracę natchnienie. Po pierwsze, chce mi się siku, więc zaczynam się wiercić niespokojnie (uwaga na później: zanim postanowisz odebrać sobie życie, nie zapomnij skorzystać z toalety). Po drugie, zaczyna padać. W tej temperaturze deszcz z pewnością zamieni się w lodowatą breję, zanim dotknie ziemi.

– Zaczyna padać – stwierdzam, jakby tego nie wiedziała. – Zapewne warto zauważyć w tym miejscu, że deszcz zmyje naszą krew, więc będą mieli mniej sprzątnięcia niż w normalnych okolicznościach. Ale właśnie ta masakra mnie wstrzymuje. Nie jestem próżny, jednak pozostaję człowiekiem. Nie wiem jak ty, ale ja osobiście wolałbym nie wyglądać podczas pogrzebu, jak gdyby przejechał po mnie walec.

Dziewczyna trzęsie się ze zdenerwowania albo drży z zimna – nie wiem. Przysuwam się w jej stronę, z nadzieją, że nie spadnę, zanim do niej dotrę. Ostatnie, czego pragnę, to zrobić z siebie idiotę w jej obecności.

– Wyraźnie powiedziałem, że chcę zostać skremowany, ale moja mama nie popiera tego rozwiązania. – A ojciec robi, cokolwiek tylko będzie chciała, żeby nie stresować jej jeszcze bardziej niż dotąd, a zresztą „jesteś o wiele za młody, żeby myśleć o takich rzeczach, twoja babcia dożyła dziewięćdziesięciu ośmiu lat, teraz nie będziemy o tym rozmawiać, Theodore, nie denerwuj matki”.

– Tak więc dla mnie będzie to otwarta trumna, co oznacza, że jeśli skoczę, nie będę się elegancko prezentował. Zresztą, wolę moją twarz nietkniętą, no wiesz, dwoje oczu, jeden nos, jedno usta, pełen komplet zębów – jeśli mam być szczery, to najlepsze, czym obdarzyła mnie natura. – Uśmiecham się, żeby sama mogła się przekonać. Wszystko tak, jak trzeba, przynajmniej na zewnątrz.

Nie odzywa się, więc przesuвам się dalej, nadal przy tym gadając.

– A najbardziej mi żal przedsiębiorcy pogrzebowego. Taka gówniana robota, a jeszcze musiałyby się zająć takim dupkiem jak ja.

Z dołu rozlega się czyjś krzyk:

– Violet? Tam jest Violet?

– O Boże – mówi tak cicho, że ledwo ją słyszę. – OBożeBożeBoże. – Wiatr podwiewa jej spódniczkę i włosy, wygląda, jakby zaraz miała odlecieć.

Na dole zaczyna się coś dziać, więc wołam:

– Nie próbuj mnie ratować! Bo sama zginiesz!

– A potem odzywam się cicho, żeby tylko ona mnie słyszała: – Uważam, że powinniśmy zrobić tak... – Znajduję się już jakieś trzydzieści centymetrów od niej. – Chcę, żebyś rzuciła buty w stronę dzwonu, a potem przytrzymaj się balustrady, po prostu chwycić ją mocno, oprzyj się o nią i przelóż prawą nogę. Rozumiesz?

– Tak. – Kiwa głową i prawie traci równowagę.

– Nie kiwaj głową.

– Tak.

– I nie pomył się, nie zrób kroku do przodu, zamiast do tyłu. Zaczynam odliczać. Na trzy, dobrze?

– Tak. – Odrzuca buty, opadają z głuchym łoskotem na beton przy dzwonie.

– Raz. Dwa. Trzy.

Chwyta za kamienną barierkę i się o nią zapiera, po czym unosi nogę, przekłada na drugą stronę, dzięki czemu siedzi okrakiem na balustradzie.

Wpatruje się w ziemię, widzę, że znów zamiera, więc mówię:

– Dobrze. Bardzo dobrze. Tylko nie patrz w dół.

Powoli przenosi na mnie wzrok, a potem prawą stopą dotyka posadzki wieży.

– Teraz przełóż lewą nogę i postaw ją jak najdalej. Nie puszczaj się balustrady. – Trzęsie się tak bardzo, że słyszę, jak jej zęby dzwonią, ale lewa noga dołącza do prawej i już wiem, że jest bezpieczna.

Zostałem sam na gzymsie. Po raz ostatni spoglądam w dół, poza moje stopy w rozmiarze czterdzieści osiem, które nadal rosną – dzisiaj mam na sobie tenisówki z neonowymi sznurowadłami – poza otwarte okna na trzecim piętrze, na drugim i pierwszym, poza Amandę Monk, która rechocze na stopniach i zarzuca blond włosami niczym kuc grzywą, a głowę zakrywa książkami, próbując flirtować i jednocześnie chronić się przed deszczem.

Patrzę poza tym wszystkim, na ziemię, teraz mokrą i śliską, i wyobrażam sobie, że na niej leżę.

„Wystarczyłby krok do przodu i w kilka sekund byłoby po wszystkim. Koniec w a r i a t a F i n c h a. Koniec bólu. Koniec wszystkiego”.

Staram się zapomnieć o niespodziewanym incydencie ratowania życia i wracam do bieżącej sytuacji. Przez chwilę czuję spokój, gdy mój umysł się wycisza – zupełnie,

jakbym już nie żył. Jakbym przebywał w stanie nieważkości, zupełnie wolny. Nie musiał bać się niczego i nikogo, nawet samego siebie.

Wtedy słyszę głos za plecami:

– Chcę, żebyś przytrzymał się balustrady. Po prostu chwyć ją mocno, oprzyj się o nią i przełóż prawą nogę.

Właściwa chwila minęła, teraz mam wrażenie, że to był idiotyczny pomysł, nie licząc może miny Amandy, gdybym przeleciał obok niej. Śmieję się na samą myśl. Wybucham tak gromkim śmiechem, że prawie spadam z wieży, a to mnie przeraża – naprawdę przeraża. Violet łapie mnie w objęcia, a Amanda podnosi głowę.

– Psychol! – krzyczy ktoś. Amanda i jej ekipa prychnają. Amanda przykładła dłonie do mięsistych warg i krzyczy:

– Nic ci nie jest, V?

– Nie. – Violet pochyla się nad barierką, ale nadal trzyma się moich nóg.

Rozlega się skrzypienie drzwi prowadzących na szczyt wieży i na progu pojawia się mój najlepszy kumpel, Charlie Donahue. Charlie jest czarnoskóry. Ale nie żaden brąz czy grafit, najczarniejsza czerń. I chodzi z dziewczynami do łóżka częściej niż ktokolwiek, kogo znam.

– Dzisiaj dają pizzę – oznajmia. Zupełnie jakbym wcale nie stał na krawędzi wieży, sześć pięter nad ziemią, z rozpostartymi ramionami i dziewczyną trzymającą się kurczowo moich nóg.

– No dalej, wariacie. Może wreszcie to zrobisz, co?

– wrzeszczy z dołu Gabe Romero, zwany też Roamerem oraz Dupkiem Żołędnym. Kolejny wybuch śmiechu.

„Nie mogę, bo mam dzisiaj randkę z twoją matką”

– mam ochotę powiedzieć, ale nie robię tego, bo,

powiedzmy sobie szczerze, to wyjątkowo kiepska odzywka. A poza tym wlaźły na wieżę, stłukłby mnie na kwaśne jabłko i zepchnął w dół, co zupełnie zaprzeczałoby idei samobójstwa.

– Dzięki za to, że mnie uratowałaś, Violet! – krzyczę zamiast tego. – Nie wiem, co bym zrobił, gdybyś się nie zjawiała. Pewnie leżałbym już martwy.

Ostatnią twarzą, na jaką pada mój wzrok, zanim zejdem, jest twarz szkolnego psychologa. Pan Embry patrzy na mnie wściekle, a wtedy myślę: „Super. Po prostu super”.

Pozwalam Violet, by pomogła mi przejść przez balustradę. Z dołu rozlegają się wiwaty, ale nie dla mnie, tylko dla niej, dla bohaterki. Z tak bliskiej odległości widzę, jak gładka i nieskazitelna jest jej skóra, nie licząc dwóch piegów na prawym policzku. Oczy ma szarozielone, co przychodzi na myśl jesień. Te jej oczy wywierają na mnie ogromne wrażenie. Są wielkie, frapujące, patrząc na nie, mam wrażenie, że widzą wszystko. Są ciepłe, ale też konkretne, rzeczowe. To oczy, które zagląдают prosto w duszę, widzę to mimo jej okularów. Jest ładna i dość wysoka, ale nie za bardzo. Ma długie nogi i kształtne biodra, co lubię u dziewczyn. Niestety, wiele lasek w szkole ma sylwetkę jak chłopak.

– Ja sobie tylko siedziałam na balustradzie – mówi.
– Na wieży. Nie weszłam tu, żeby...

– Pozwól, że cię o coś zapytam. Uważasz, że istnieje coś takiego jak idealny dzień?

– Co takiego?

– Idealny dzień. Od rana do nocy. Kiedy nie dzieje się nic okropnego, smutnego ani zwyczajnego. Uważasz, że to możliwe?

– Nie wiem.

– A przeżyłaś kiedyś taki dzień?

– Nie.

– Ja też nie. Ale nadal go szukam.

– Dziękuję ci, Theodorze Finch – szepcze. Staje na palcach i całuje mnie w policzek. Czuję zapach jej szamponu, jest podobny do zapachu kwiatów. – Jeśli komukolwiek o tym powiesz, zabiję cię. – Chwyta buty i ucieka z wieży i deszczu, wychodzi przez drzwi, za którymi znajdują się ciemne, rozpadające się schody, prowadzące do zbyt jasnych i zbyt zatłoczonych szkolnych korytarzy.

Charlie śledzi Violet wzrokiem, a kiedy drzwi się za nią zamykają, odwraca się do mnie.

– Po co to robisz?

– Ponieważ wszyscy musimy kiedyś umrzeć. Ja tylko chcę być przygotowany. – Oczywiście, to nie jest prawdziwy powód, ale jemu wystarczy. Prawdę powiedziawszy, istnieje wiele różnych przyczyn, większość zmienia się z dnia na dzień. Na początku tygodnia było to trzynastu dziesięciolatek zabitych przez jakiegoś sukinsyna, który otworzył ogień w szkolnej sali gimnastycznej, wcześniej dziewczyna o dwa lata młodsza, która zmarła na raka, facet, który kopał psa pod kinem, albo mój ojciec.

Charlie może i sobie tak myśli, ale nie powie na głos, że jestem wariatem i dziwakiem. Dlatego właśnie jest moim najlepszym przyjacielem. Poza tym, że cenię w nim tę zaletę, nie mamy ze sobą wiele wspólnego.

* * *

Teoretycznie rzecz biorąc, jestem w szkole warunkowo. Wiąże się to z pewnym drobnym incydentem,

obejmującym ławkę oraz tablicę (dla waszej informacji, koszt zakupu nowej tablicy jest znacznie wyższy, niż można się tego spodziewać). A także pewnym zajściem, podczas którego w czasie apelu została rozbita gitara, nielegalnym użyciem sztucznych ogni i jedną bijatyką – no, może dwiema. W rezultacie zgodziłem się mimowolnie na następujące rozwiązanie: cotygodniowe wizyty u psychologa, utrzymanie ocen na poziomie B oraz udział w przynajmniej jednych zajęciach dodatkowych. Wybrałem makramę, ponieważ jestem tam jedynym facetem pośród dwudziestu nie najgorszych lasek, co wydawało mi się doskonałym posunięciem. Muszę też zachowywać się poprawnie, traktować dobrze inne osoby, a także powstrzymać się od rzucania biurkami oraz „wszelkich aktów fizycznej przemocy”. No i zawsze, ale to zawsze muszę gryźć się w język, bo tak właśnie zaczynają się moje kłopoty. Począwszy od tej chwili, jeżeli cokolwiek sp___ rze – wylatuje ze szkoły.

Wchodzę do gabinetu psychologa, melduję się u sekretarki i zajmuję miejsce na jednym z twardych, drewnianych krzeseł, czekając, aż pan Embry będzie gotów mnie przyjąć. O ile znam Embriona – tak go nazywam w myślach – a znam go, będzie chciał za wszelką cenę dowiedzieć się, co robiłem na wieży. Jeżeli mi się uda, nie wyjdziemy poza ten temat.

Mija kilka minut i pokazuje ręką, żebym wszedł do środka. Niski, masywny facet o budowie byka – gdy zamyka za sobą drzwi, z jego twarzy znika uśmiech. Siada, pochyla się nad biurkiem i wbija we mnie wzrok, jakbym był podejrzanym, którego trzeba złamać.

– Co ty, do jasnej cholery, robiłeś na szczycie wieży?

W Embrionie lubię nie tylko to, że jest taki przewidywalny, ale także fakt, że od razu przechodzi do rzeczy. Znam go od drugiej klasy szkoły średniej.

– Chciałem zobaczyć widok.

– Planowałeś skoczyć?

– W dzień, w który serwują pizzę? W życiu! To jeden z najlepszych dni w całym tygodniu – mówię. Powinienem dodać, że potrafię doskonale odwracać uwagę od własnej osoby. Tak doskonale, że mógłbym dostać pełne stypendium na studia w tym kierunku i zyskać tytuł magistra od odwracania uwagi. Tylko po co? Już i tak opanovałem tę sztukę do perfekcji.

Czekam, aż zapyta o Violet, ale zamiast tego mówi:

– Muszę wiedzieć, czy planowałeś albo planujesz zrobić sobie krzywdę. I absolutnie nie żartuję. Jeśli dyrektor się o tym dowie, spadasz stąd, zanim zdołasz powiedzieć „zawieszony w prawach ucznia”. Nie wspomnę już nawet o tym, że jeśli mnie nie posłuchasz i postanowisz wejść tam z powrotem i skoczyć, czeka mnie proces sądowy, a wierz mi, przy tej pensji nie stać mnie na adwokatów. I nie ma znaczenia, czy skoczysz z dzwonnicy, czy z Purina Tower, to nie musi być na terenie szkoły.

Pocieram podbródek, jakbym zatopił się w głębokich myślach.

– Purina Tower. Świetny pomysł.

Nawet nie drgnął, tylko patrzy na mnie spod zmrużonych powiek. Jak większość mieszkańców Środkowego Zachodu niespecjalnie lubi dowcipy, zwłaszcza jeśli dotyczą delikatnych materii.

– To wcale nie jest zabawne, panie Finch. To nie jest temat, z którego można żartować.

– Tak jest, proszę pana. Przepraszam.

– Problem polega na tym, że samobójcy nie myślą zupełnie, jakie konsekwencje będzie miał ich czyn dla innych. I nie chodzi tylko o rodziców i rodzeństwo, ale także o przyjaciół, dziewczyny, kolegów z klasy, nauczycieli. – Bardzo mi się podoba, że jego zdaniem tak wielu osobom na mnie zależy – zwłaszcza ta wzmianka nie o jednej, ale o kilku dziewczynach.

– Tylko się wygłupiałem. Ale zgadzam się, to nie był najlepszy sposób na spędzenie pierwszej lekcji.

Podnosi teczkę, kładzie ją z hukiem na stole przed sobą i zaczyna przeglądać zawartość. Czekam, aż skończy czytać i znów na mnie popatrzy. Zastanawiam się, czy odlicza już dni do wakacji letnich.

Wstaje i niczym gliniarz z filmu obchodzi biurko i pochyla się nade mną. Opiera się o mebel z założonymi rękami, a ja patrzę, czy na ścianie nie wisi gdzieś zamaskowane lustro weneckie.

– Czy powinienem zadzwonić do twojej matki?

– Nie. Zdecydowanie nie. – „Nie, nie i nie”. – Proszę pana, to była głupota z mojej strony. Chciałem się tylko przekonać, jak to jest, kiedy się tam stanie i spojrzy w dół. Nigdy bym nie skoczył z dzwonnicy.

– Jeśli to się powtórzy, jeśli choćby o tym pomyślisz, zadzwonię. A poza tym zrobimy ci test na obecność narkotyków.

– Doceniam troskę, proszę pana – mówię. Staram się brzmieć jak najszczerzej, bo ostatnie, na co mam ochotę, to znalezienie się w świetle jeszcze większych jupiterów, śledzących każdy mój ruch w szkole i poza nią. A poza tym naprawdę lubię Embriona. – Jeśli chodzi o narkotyki, szkoda

cennego czasu. Naprawdę. Chyba że liczą się też papierosy. Ja i dragi? To nie jest dobre połączenie. Proszę mi uwierzyć, sprawdzałem. – Zakładam ręce jak grzeczny chłopiec. – A z tą całą wieżą, to chociaż wcale nie było tak, jak pan myśli, mogę obiecać, że to się już nie powtórzy.

– Zgadza się. Nie powtórzy się. Zamiast raz w tygodniu będziesz do mnie przychodził dwa razy. W poniedziałek i piątek. Porozmawiamy, zobaczą, jak ci idzie.

– Z przyjemnością, proszę pana. Naprawdę lubię te nasze konwersacje. Ale nie ma takiej potrzeby.

– To nie podlega negocjacjom. A teraz omówmy kwestię końcówki zeszłego semestru. Opuściłeś cztery... prawie pięć tygodni nauki. Twoja mama powiedziała, że miałeś grype.

Tak się składa, że to była moja siostra Kate, ale Embry nie musi o tym wiedzieć. To ona zadzwoniła do szkoły, kiedy nie było ze mną kontaktu, bo mama ma już i tak za dużo zmartwień.

– Skoro tak twierdzi, kim jesteśmy, by to kwestionować?

Owszem, byłem chory, ale nie na łatwo wytłumaczalną grype. Z doświadczenia wiem, że ludzie reagują z większym współczuciem, kiedy w i d z a, że człowiek cierpi. Po raz enty żałuję, że nie mogę chorować na odre, ospę czy jakąkolwiek inną prostą do zrozumienia przypadłość. Byłoby łatwiej – i dla mnie, i dla nich. Wszystko byłoby lepsze od prawdy: *Znów zamknąłem się w sobie. Zatraciłem w pustce. W jednej chwili kręciłem się pełen energii, w drugiej mój umysł włócił się w powolnym kółku, niczym stary, pokrecony reumatyzmem pies, który próbuje się gdzieś położyć. A potem po prostu się wyłączyłem, zasnąłem, ale nie był to sen, jaki przychodzi na człowieka co noc, lecz długie, mroczne spanie, podczas którego nic ci się nie śni.*

Embrion mruży oczy i wpatruje się we mnie intensywnie, jak gdyby czekał, aż spocę się pod jego spojrzeniem.

– Czy możemy oczekiwać, że w tym semestrze będziesz przychodził do szkoły i unikał kłopotów?

– Absolutnie.

– I będziesz się uczył?

– Oczywiście, proszę pana.

– Porozmawiam z pielęgniarką, żeby przeprowadziła badanie na obecność narkotyków. – Przeszywa powietrze palcem, wskazując na mnie. – Okres warunkowy oznacza czas sprawdzania, czy dana osoba nadaje się do szkoły. To okres pracy nad sobą. Zajrzyj do słownika, jeśli mi nie wierzysz, i, na litość boską, trzymaj się życia.

Tylko właśnie chodzi o to, że nie chcę. Nie chcę żyć. Nie mówię tego na głos, ponieważ zważywszy na grubą teczkę, która przed nim leży, nigdy w to nie uwierzy. Nie uwierzy także w to, że walczę, by móc być na tym popieprzonym, gównianym świecie. Stanie na krawędzi na szczycie wieży nie dotyczy wcale umierania. Chodzi o uzyskanie kontroli. O to, by już nigdy nie zapadać w ten idiotyczny sen.

Embrion okrąży biurko i podnosi stos broszur *Kłopoty nastolatków*. A potem mówi, że wcale nie jestem sam, że zawsze mogę przyjść z nim porozmawiać, drzwi są otwarte. I że zobaczymy się w poniedziałek. Mam ochotę powiedzieć, że bez obrazy, ale to kiepskie pocieszenie. Dziękuję mu jednak, bo widzę jego podkrażone oczy i zmarszczki palacza wokół ust. Pewnie zapali papierosa, ledwo tylko wyjdę. Biorę stos ulotek i zostawiam go samego. Nawet nie wspomniał o Violet. Co za ulga.



Violet

154 dni do końca szkoły

Piątek rano. Gabinet Marion Kresney, szkolnej psycholożki, kobiety o małych oczach, dobrotliwym spojrzeniu oraz uśmiechu o wiele za dużym jak na jej twarz. Według wiszącego na ścianie certyfikatu pracuje w szkole Bartlett High od piętnastu lat. To nasze dwunaste spotkanie.

Serce mi łomocze, a ręce nadal się trzęsą po incydencie na wieży. Oblewa mnie zimny pot, mam ochotę się położyć. Czekam, aż pani Kresney powie: „Violet Markey, dobrze wiem, co robiłaś podczas pierwszej lekcji. Twoi rodzice już tu jadą. Lekarze czekają, żeby odwieźć cię do najbliższego szpitala psychiatrycznego”.

Ale zaczynamy tak jak zwykle.

– Co słychać, Violet?

– Wszystko dobrze. – Siadam na dłoniach. – A u pani?

– Też, ale porozmawiajmy o tobie. Chcę wiedzieć, jak się czujesz.

– W porządku. – To, że nic nie wspomina o wieży, nie znaczy jeszcze, że nie wie. Niemal nigdy nie pyta o nic bezpośrednio.

– Jak sypiasz?

Koszmary zaczęły się miesiąc po wypadku. Przy każdym spotkaniu mnie o nie wypytuje, bo popełniłam błąd

i wspomniałam o nich mamie, a ona przekazała tę informację dalej. To jeden z powodów, dla których tu przychodzę i przestałam mówić mamie o czymkolwiek.

– Dobrze.

Pani Kresney zawsze się uśmiecha, cokolwiek powiem. Lubię to w niej.

– Jakież koszmary nocne?

– Nie.

Kiedyś zapisywałam sobie wszystkie złe sny, ale teraz już tego nie robię. Pamiętam nawet najdrobniejsze szczegóły. Na przykład cztery tygodnie temu dosłownie się rozplątałam. Śniło mi się, że tata powiedział: „Violet, to twój koniec. Doszłaś do ściany. Wszyscy mamy własną, ty właśnie do swojej dotarłaś”. A ja wcale tego nie chciałam. Przyglądałam się, jak topią się moje stopy i zostaje po nich tylko kałuża. A potem ręce. Nic mnie nie bolało, jednak myślałam sobie: „Nie powinnam się tym przejmować, bo to wcale nie jest bolesne. Po prostu sobie odchodzę”. A jednak przejmowałam się, że po kolei, kawałek po kawałku, moje ciało się rozpląta. Nim się obudziłam, cała stałam się niewidzialna.

Pani Kresney przesuwając się na krześle, a uśmiech nie schodzi jej z twarzy. Ciekawe, czy we śnie też się uśmiecha.

– Porozmawiajmy o studiach.

Jeszcze rok temu nie byłoby dla mnie przyjemniejszej rozmowy. Razem z Eleanor często dyskutowaliśmy o uczelniach, kiedy rodzice już poszli spać. Jeśli było ciepło, siadałyśmy na zewnątrz, jeśli zimno – zostawałyśmy w domu. Wyobrażałyśmy sobie miejsca, które odwiedzimy, i ludzi, których poznamy. Tak daleko od Bartlett, liczącej 14 983 mieszkańców miejscowości w Indianie, gdzie czułyśmy się jak przybysze z obcej planety.

– Złożyłaś podanie do UCLA, Stanford, Berkeley, uniwersytetu na Florydzie, uniwersytetu w Buenos Aires, Northern Caribbean University oraz Narodowego Uniwersytetu Singapuru. To bardzo zróżnicowana lista, ale co się stało z nowojorską uczelnią?

Odkąd skończyłam szkołę podstawową, kreatywne pisanie na uniwersytecie w Nowym Jorku było moim wymarzonym kierunkiem – właściwie przez mamę, która pracuje na uczelni i jest pisarką. Robiła tam doktorat, wyjechaliśmy więc we czwórkę na trzy tygodnie do Nowego Jorku i spotkaliśmy się z jej dawnymi wykładowcami i kolegami ze studiów – pisarzami, scenarzystami, dramaturgami i poetami. Miałam zamiar złożyć wcześniejsze podanie już w październiku, ale wtedy zdarzył się wypadek i zmieniłam zdanie.

– Spóźniłam się, nie zdążyłam złożyć papierów w terminie – odpowiadam. Normalny termin minął tydzień temu. Wszystko przygotowałam, napisałam nawet esej, ale nie wysłałam.

– Porozmawiajmy o pisaniu. O stronie internetowej.

Ma na myśli stronę EleanorandViolet.com. Założyłyśmy ją po przeprowadzce do Indiany. Chciałyśmy stworzyć czasopismo internetowe, prezentujące dwa (bardzo) odmienne spojrzenia na modę, urodę, chłopaków, książki i życie. W zeszłym roku przyjaciółka Eleanor Gemma Sterling (gwiazda popularnego internetowego serialu) wspomniała o nas w wywiadzie i od razu potroiła się liczba naszych fanów. Ale nie tknęłam nawet palcem tej strony po śmierci Eleanor, bo i po co? To była strona sióstr. Zresztą, w chwili, gdy uderzyłyśmy w barierkę przy drodze, umarła moja zdolność pisania.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Jak rozumiem, twoja mama jest autorką książek. Na pewno służy cennymi radami.

– Jessamyn West* powiedziała kiedyś: „Pisanie jest tak trudne, że pisarze, przeżywszy swoje piekło na ziemi, unikną wszelkiej kary po śmierci”.

Pani Kresney ożywia się na te słowa.

– Czujesz, jakby to była dla ciebie kara? – Ma na myśli wypadek. A może moją obecność w tym gabinecie, w tej szkole, w tym mieście.

– Nie. – Czy czuję, że powinnam zostać ukarana? Tak. W przeciwnym razie po co zapuszczałabym grzywkę?

– Uważasz, że ponosisz odpowiedzialność za to, co się stało?

Ciągnę za grzywkę. Jest krzywa.

– Nie.

Opiera się o krzesło, a jej uśmiech maleje o kilka milimetrów. Obie wiemy, że to kłamstwo. Zastanawiam się, co by powiedziała, gdybym jej oznajmiła, że godzinę temu trzeba było mnie skłaniać do zejścia z gzymsu na szczycie wieży. Teraz jestem pewna, że ta wiadomość do niej nie dotarła.

– Prowadziłaś już samochód?

– Nie.

– Jechałaś jako pasażer z rodzicami?

– Nie.

– Ale im na tym zależy. – To nie było pytanie. Powiedziała to tak, jakby rozmawiała z obojgiem albo przynajmniej z którymś z nich. Pewnie tak było.

– Nie jestem gotowa. – Przekonałam się już, że te trzy magiczne słowa pozwalają mi wybrnąć z niemal każdej sytuacji.

* Mary Jessamyn West (1902–1984) – amerykańska pisarka, autorka m.in. powieści *The Friendly Persuasion*.

– Myślałaś o tym, żeby wrócić do zespołu cheerleaderek? – pyta, pochylając się do przodu.

– Nie.

– Do samorządu szkolnego?

– Nie.

– Nadal grasz na flecie w orkiestrze?

– Na ostatnim miejscu. – To akurat nie zmieniło się po wypadku. Zawsze zajmowałam najdalsze miejsce, bo kiepsko idzie mi gra.

Znowu się odsuwa. Przez chwilę sędzę, że może dała za wygraną, ale wtedy odzywa się ponownie.

– Violet, martwię się o ciebie. Prawdę powiedziawszy, powinnaś poczynić już większe postępy. Nie możesz wiecznie unikać jazdy samochodem, zwłaszcza że mamy zimę. Nie możesz stać w miejscu. Musisz pamiętać, że ty przeżyłaś, a to znaczy...

Nigdy się nie dowiem, co to znaczy, bo kiedy tylko słyszę słowo „przeżyłaś”, podnoszę się z krzesła i wychodzę.

* * *

W drodze na czwartą lekcję. Korytarz szkolny.

Co najmniej piętnaście osób – część znam, część nie, niektórzy nie odzywali się do mnie od wielu miesięcy – zatrzymuje mnie, gdy idę do klasy, by powiedzieć, jakie to odważne z mojej strony, że uratowałam Theodore’a Fincha przed samobójstwem. Jedna z dziewczyn ze szkolnej gazetki chce przeprowadzić ze mną wywiad.

Ze wszystkich uczniów, których mogłabym „uratować”, Theodore Finch jest najgorszym wyborem. Cieszy się legendarną wręcz opinią w naszym liceum. Nie znam go zbyt

dobrze, ale wiele o nim słyszałam. Wszyscy o nim słyszeli. Niektórzy go nienawidzą, bo jest dziwny, często wdaje się w bójki, zostaje wyrzucany ze szkoły i w ogóle robi, co tylko chce. Inni go uwielbiają, ponieważ jest dziwny, często wdaje się w bójki, zostaje wyrzucany ze szkoły i w ogóle robi, co tylko chce. Gra na gitarze w pięciu czy sześciu różnych zespołach, a w zeszłym roku pobił prawdziwy rekord. Ale jest dość... ekstremalny. Na przykład któregoś dnia przyszedł do szkoły wymalowany od stóp do głów na czerwono, a to nawet nie było święto szkoły. Jednym oznajmił, że to demonstracja przeciwko rasizmowi; innym – że protestuje przeciwko spożyciu mięsa. W pierwszej klasie liceum przez cały miesiąc chodził w pelerynie, rozbił biurkiem tablicę na dwie części oraz wykradł z laboratorium biologicznego wszystkie żaby do sekcji, po czym urządził im uroczystość pogrzebową i pochował na boisku do baseballu. Wielka Anna Fairs* powiedziała kiedyś, że tajemnicą przeżycia w szkole średniej jest „niewychylenie się”. Finch robi coś zupełnie przeciwnego.

Spóźniam się pięć minut na literaturę rosyjską, gdzie pani Mahone oraz jej peruka zadają nam dziesięciostronicowe wypracowanie na temat *Braci Karamazow*. Wszyscy jęczą – oprócz mnie, bo cokolwiek sobie myśli pani Kresney, nadal obowiązują mnie Szczególne Okoliczności Łagodzące.

Nawet nie słucham, jak pani Mahone wymienia swoje oczekiwania. Zaczynam skubać nitkę w spódniczce. Boli mnie głowa, pewnie od okularów. Eleanor miała słabszy wzrok niż ja. Zdejmuję szkła i kładę je na ławce. Na niej prezentowały się stylowo, na mnie wyglądają brzydko.

* Anna Fairs – aktorka amerykańska (ur. 1976 r.), role m.in. w *Strasznym filmie* czy *Między słowami*.

Zwłaszcza z grzywką. Ale może, jeśli będę nosiła je odpowiednio długo, stanę się taka jak moja siostra. Będę widziała to co ona. Będę jednocześnie nią i sobą, dzięki temu nikt nie będzie musiał za nią tęsknić, szczególnie ja.

Prawda jest taka, że bywają lepsze i gorsze dni. Mam poczucie winy w związku z tym, że nie wszystkie uważam za złe. Niekiedy coś mnie zaskoczy, program w telewizji, zabawny komentarz taty, czyjaś uwaga w klasie, i śmieję się, jakby nic się nie stało. Znowu czuję się normalna, cokolwiek to znaczy. Bywają poranki, kiedy wstaję i zaczynam się szykować, nucąc coś pod nosem. Do szkoły chodzę zwykle pieszo, ale czasem jadę rowerem, nieraz umysł płata mi figla i oszukuje mnie, że jestem zwyczajną dziewczyną na przejażdżce rowerowej.

Emily Ward wbija mi palec w plecy i podaje karteczkę. Ponieważ pani Mahone zabiera nam telefony na początku każdej lekcji, musimy pisać sobie informacje w staroświecki sposób na kartce z zeszytu.

„Czy to prawda, że powstrzymałaś Fincha przed samobójstwem? Buziaki, Ryan”. Jest tylko jeden Ryan w tej klasie – niektórzy gotowi są przysiąc, że tylko jeden jedyny Ryan w całej szkole, może nawet na świecie – Ryan Cross.

Podnoszę głowę i napotykam jego wzrok, dwa rzędy dalej. Jest zbyt przystojny. Barczyste ramiona, złotobrązowe włosy, zielone oczy i wystarczająco dużo piegów, żeby wydawał się przystępny. Do grudnia był moim chłopakiem, ale teraz zrobiliśmy sobie od siebie przerwę.

Kartka leży pięć minut na mojej ławce, zanim zdecyduję się odpowiedzieć. W końcu piszę: „Tak się złożyło, że tam byłam. V”. Nie mija minuta i liścik do mnie wraca, ale tym razem go nie otwieram. Myślę o tym, ile dziewczyn

pragnęłoby dostać taki liścik od Ryana Crossa. Ubiegłoroczna Violet Markey też by do nich należała.

Kiedy dzwoni dzwonek, zostaje w klasie. Ryan ociąga się przez chwilę, czekając, co zrobię, ale ponieważ tylko siedzę, odbiera swoją komórkę i wychodzi.

– Tak, Violet? – odzywa się pani Mahone.

Kiedyś dziesięć stron to było nic. Nauczyciel prosił o dziesięć, ja pisałam dwadzieścia. Chcieli dwadzieścia? Nie ma sprawy, oddawałam trzydzieści. Pisanie było tym, co wychodziło mi najlepiej, lepiej od bycia córką, dziewczyną i siostrą. To była kwintesencja mnie. Teraz jest jedną z rzeczy, których nie potrafię robić.

W zasadzie nie muszę nic mówić, nawet „nie jestem jeszcze gotowa”. To niepisany regulamin życia, rozdział pod tytułem „Jak reagować, kiedy uczeń stracił ukochaną osobę i dziewięć miesięcy później nadal nie może się z tym pogodzić”.

Pani Mahone wzdycha i oddaje mi telefon.

– Przynieś mi stronę albo chociaż akapit – mówi. – Po prostu postaraj się napisać cokolwiek. – Szczególne Okoliczności Łagodzące ratują mi tyłek.

Ryan czeka pod klasą. Widzę, że próbuje ułożyć puzzle, poskładać mnie do kupy, żebym znów była zabawną dziewczyną, z którą kiedyś chodził.

– Ślicznie dzisiaj wyglądasz – mówi. To miło z jego strony, że nie gapi się na moje włosy.

– Dzięki.

Ponad ramieniem Ryana widzę przechodzącego Theodore’a Fincha. Kiwa głową w moją stronę, jakby wiedział coś, czego ja nie wiem, i maszeruje dalej.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

1 MIEJSCE NA LIŚCIE „NEW YORK TIMESA”

Czy odnajdziemy siebie, stając na skraju przepaści?

Violet marzy o ucieczce z prowincjonalnego miasteczka i od bolesnych wspomnień o rodzinnej tragedii. Finch codziennie rozmyśla nad tym, jak pozbać się życia, a jednocześnie szuka czegoś, co mogłoby go przed tym powstrzymać... Kiedy Finch i Violet spotykają się sześć pięter nad ziemią, to, co miało być końcem, staje się początkiem. Tylko przy niej Finch może być sobą: zabawnym chłopakiem, który potrafi cieszyć się życiem. I tylko przy nim Violet zaczyna przeżywać swoje dni, zamiast je odliczać. Jednak im większy staje się świat Violet, tym bardziej kurczy się świat Fincha. Chłopak chwytą się wszystkich dobrych rzeczy w swoim życiu, ale czy tym razem wystarczy mu czasu?

*Całym sercem polecamy tę wzruszającą opowieść
o niezwykłej parze złamanych życiem nastolatków.*

„NEW YORK TIMES”

Jennifer Niven to królowa serc i tolerancji.

„POPSUGAR”

Nr 21000132
ISBN 978-83-8074-565-0



9 788380 745650

bukowylas.pl

Polub nas na
Facebooku



Cena: 39,90 zł
(w tym VAT)